

8ma Wieczór

niezależny przegląd sztuki i życia

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI I SOBOTY

Literatura, Teatr, Sport, Kino, Radjo.

Nr. 3—4

WARSZAWA, WTOREK 19 PAŹDZIERNIKA 1926

ROK I

POSEŁ AZJI — APOSTOŁ EUROPY

Rabindranath Tagore

Powiada w którymś z wywiadów Paweł Morand, znakomity prozaik i podróżnik francuski, że istnieje na ziemi jeden zabytek, gdzie dotychczas zachowała się niesfalszowana egzotyka, mianowicie Sjam. Ale — dodaje — a matorowie egzotyki powinni się spieszyć: za rok, najdalej za dwa lata i ta również arka dja odrębności upodobni się całkowicie do reszty ogromnego świata, ściśniętego w obręczach szyn kolejowych.

Genjalny Rimbaud, który uciekł na Wschód, aby za wszelką cenę wyjść poza Europę, w istocie rzeczy, cóż znalazł? Jedyne łatwiejszą o kazyę pozbycia się swego demona poezji i wyhodowania w sobie dziedzicznych zapewne cech skapego i oszczędnego kupca. Jakaś tragiczność kieruje wędrowkami najlepszych Europejczyków, którzy, pragnąc odnowić się w innej kulturze, nie znajdując innej, jak to, co mogli znaleźć, nie opuszczając swego domu. Podczas gdy oni jeżdżą na Wschód po światło, Wschód wysyła im naprzeciw swoich posłów, co pod inną odzieżą kryją to samo serce i pod innym nakryciem głowy wylegają te same myśli. W końcu może się zdawać, że niepodobna wyjść poza Europę, że obejmuje ona wszystko, że jest magazynem, zawierającym wszystkie możliwości, ojezyzną wszystkich i wszystkiego.

Rabindranath Tagore jest posłem Azji, mieszczącym się doskonale w ramach Europy. Zresztą, czy może być inaczej? Syn reformatora hinduskiego, przywódca postępowej sekty Brakmo Samadz, zespalałający chrześcijaństwo z buddyzmem, chrześcijański monoteizm z hinduskim panteizmem, dążąc do obdarzenia swego kraju dobrodziejstwem kultury nowoczesnej, Rabindranath Tagore, sam kapłan tej sekty, laureat Nobla, niszczący po angielsku, podróżujący po całym świecie, jest może zanadto przepojony wpływem Europy, aby móc jej przeciwstawić głos Wschodu w całej jego czystości i oryginalności. Mimo to, starożytna kultura wschodniej Azji znalazła w nim gorącego entuzjastę, oświeconego apologetę. Poszukując swobody, która zespoli Wschód i Zachód, Rabindranath Tagore widzi misję Azji w zaszczepieniu bezdusznej i zmecha-

nizowanej kulturze zachodniej soków etycznego człowieczeństwa. W służbie tej syn tezy nie tylko występuje jako rzecznik swej ojczyzny, nie tylko usiłuje jej przyswoić dobrodziejstwa, a osłonić ją przed grzechami Zachodu, ale ponadto pragnie na tej tarczy, niby głowę, uwidocznić i pokazać Europie to, co ją prowadzi do klęski i zagłady. Jest więc nie tylko posłem Azji, ale i apostołem Europy, jednym z ostatnich w Europie apostołów etycznego odrodzenia.

Jako apostoł nie jest oryginalny. Posiada prekursorów, którzy pouczali Europę o zgubnych skutkach materializacji i mechanizacji o pieniężnej wartości jednostki, o wyższości człowieka etycznego, o konieczności opartego na miłości współżycia ze społeczeństwem i naturą, którzy nawoływali do powrotu do przynależności, którzy domagali się odro-

dzenia w etycznym ideale. Jako filozof, t. zn. jako filozof w dalszym znaczeniu tego słowa, w znaczeniu mędrca, kontemplacyjnie rozmyślającego o człowieku, o stosunku jego do wszechświata, o Bogu, o dobrem i złym, wypowiada w subtelny i świetny sposób to, co już nieraz było wypowiedziane. Nie interesuje nas także jako poeta, gdyż przynajmniej w tych utworach, które ukazały się po polsku, daje zamiast poezji poetyckość, liryczną wylewność, operującą naiwną symboliką — piękno, które już dawno przestało nas wzruszać. Jako powieściopisarz i nowelista jest ciekawy, ale nie przekracza norm lepszej przeciętności. — Atoli interesuje nas w pierwszym rzędzie jako wykładnik poglądów kulturalnych Wschodu, jako wzniósł bógownik etyki i wreszcie jako indywidualność, zarysowująca się w dziełach świetlana po-

stać mędrca, bramina, wieszcz, jednego z ostatnich, do których zastosować można miano kakos kaloskagos.

„Sadhana”, „Szept duszy” i „Nacjonalizm” — to trzy utwory, które zaznajamiają czytelnika polskiego z hinduskim myślicielem. „Sadhana” jest pięknym natchnionym wykładem mistycznego panteizmu, ogniskującego się w przykazaniu miłości do wszechświata; mistycznego panteizmu, wyznającego jedność Boga ze stworzeniem, widzącego Boga wszędzie i jednocześnie z nim w duszy ludzkiej, na tym terenie, gdzie skończoność styka się z nieskończonością. Obok tekstów Upaniszad i innych świętych ksiąg sanskryckich europejski czytelnik znajdzie w „Sadhanie” i w „Szeptach duszy” niejedno pokrewieństwo z mistykami chrześcijańskimi, z mistrzem Eckhardtem, z Anielem Słazakiem, z Jakobem

Böhme, z Raysbroeckiem, z religią miłości i pokory św. Franciszka z Assyżu. Optymizm „Sadhany”, pochwała rzeczywistości, której niedoskonałość ma szczytne przeznaczenie dążenia do doskonałości obalają utarte mniemania o pesymizmie, o zaprzeczeniu realnego świata, o gnosticznym idealizmie budaiizmu — fałszywe mniemania rozpowszechnione przez europejskich pesymistów z Schopenhauerem na czele. „Sadhana” brzmi pełną gamą religijnej aprobaty dla wszechistnienia, ekstazy wiary w człowieka, w rzeczywistość, w Boga, tej wiary, która w rzeczach skończonych znajduje nieskończoność.

Zwrócenie się do wnętrza człowieka jest warunkiem nie tylko zbawienia jednostki, ale i szczęśliwości powszechnej, albowiem „manifestująca się w prawie powszechnym moc wszechświata jest naszą własną mocą”, a „wyzwolenie duszy polega na doskonałym jej związku z centralną prawdą wszelkiego bytu”. „Tak jest, powinniśmy wiedzieć, iż w sobie samych mamy to, w czym kończy się panowanie przetrzeni czasu, i gdzie ogólna ewolucja zanurzona są w jedność”. W zgodzie z duchem wschodniej mądrości Rabindranath Tagore szuka rozwiązania problematyki świata nie w świecie zewnętrznym, lecz w wewnętrznym mikrokosmosie człowieka, w wewnętrznej dyscyplinie, w nieustannej realizacji duszy, w dobrem, w miłości, w czynie, w nieskończoności. „Powinniśmy cały świat uświadomić sobie w miłości”. Niedoskonałość świata, błąd, grzech, cierpienie istnieją względnie a nie absolutnie. „Zło musi przeminać i przemienić się w dobro”. „Przy pomocy ciągłego przezwyciężania i pokonywania zła wewnętrznego, zewnętrznego, czy też jednego i drugiego naraz, ma nasz charakter, nasza wola osiągnąć doskonałość”. „Niedoskonałość, która nie jest zupełną niedoskonałością, lecz która ma za ideał doskonałość, musi przejść przez nieustającą realizację”. „Najważniejszą nauką, jaką człowiek może wyciągnąć ze swego życia, nie jest to, iż na świecie „istnieje” cierpienie, lecz, że od człowieka tylko zależy zapisać je na swoje dobro, i że on może przemienić je w radość”.

Dążenie do etycznej dosko-

Cyniczna próba szantażu

Ze strony kierownika Teatru „Perskie Oko”

Są w Warszawie dyrektorzy teatrów, którzy uważają, że instytucje przez nich prowadzone powinny stale i zawsze spotykać się z entuzjastyczną oceną krytyki. Panowie ci wychodzą z założenia, że krytyka istnieje poto jedynie, by zachwycać się ich poczynaniami, bez względu na to, czy poczynania te są dobre, czy też djabła warte. Kto wypisuje o nich dytyramby, choćby najgłębsze, najpiętsze, tego pasuje się na „przyjaciela”, kto się odważy mieć własne krytyczne zdanie, ten w oczach takiego dyrektora staje się wrogiem śmiertelnym, którego zwalczać należy wszystkimi środkami. Do dyrektorów tego typu należy kierownik teatru „Perskie Oko”, p. Konrad Tom.

Na dowód, że tak jest, przytaczamy następujący wypadek, który ze strony p. Toma spotkał redaktora działu teatralnego „8-iej Wieczór”.

W numerze drugim naszego pisma pojawiła się recenzja „Perskiego Oka”, rzeczowo o-

mawiająca ostatnią premierę „Z ust do ust”; pewne punkty programu zyskały uznanie sprawozdawcy, inne zostały zganione.

Nazajutrz po ukazaniu się numeru p. Tom nadesłał na ręce redaktora naszego działu teatralnego list wprost bezprzykładowy.

Kierownik teatru „Perskie Oko” oświadcza w nim, że o ile redaktor naszego działu teatralnego nie przestanie się „interesować” teatrem „Perskie Oko”, p. Tom skompromituje go w następnej rewii całym szeregiem szczegółów, odnoszących się do jego życia prywatnego. List p. Toma nie ma, zdaje się, precedensu ani w Polsce ani zagranicą. Jeśli już pominąć samą formę groźby, zupełnie niedopuszczalną, to uderza jej istota, która nie jest niczem innym, tylko najzwyczajnym szantażem.

Postępek p. Toma, nawiasem mówiąc niesłychanie naiwny i dziecinny, powinien jednak zwrócić uwagę wszystkich, którzy z teatrem mają

cokolwiek wspólnego. Jeśli cyniczna megalomania posunęła się dziś potrafi do próby szantażu skierowanej przeciw jednostce, to jutro taki pan gotów porozysłać do wszystkich pism cyrkularze, że w razie złych recenzji o jego teatrze „skuje mordę” recenzentowi lub zacznie się grzebać w tem, co winno być najświętsze i nieetykalne: w jego przeżyciach osobistych.

Cyniczny krok p. Toma, który oczywiście w żadnym stopniu nie wpłynie na stosunek 8-iej Wieczór do spraw teatru i sztuki, rzuci pewien cień na Związek artystów scen polskich i na Związek dyrektorów. Jesteśmy przekonani, że obydwie te instytucje, do których z racji wykonywanego zawodu należy p. Tom, napiętnują czyn kierownika teatru „Perskie Oko” jako bezprzykładowy, niedopuszczalny szantaż. List p. Toma leży w naszej redakcji; na każde wezwanie Z. A. S. P. u. lub Związku dyrektorów „8-iej Wieczór” wyda jego odpis.

ności kultury hinduskiej Rabindranath Tagore przeciwstawia materialistycznej postępczej Europie. Kultura Zachodu jest według niego kulturą miasta, podczas gdy kultura Indii „zrodziła się w puszczy”. Celem jej „nie było zdobywanie, lecz realizowanie przez wspólne rośnięcie ze swem otoczeniem i wrastanie w nie”. Twórcy kultury hinduskiej czuli, że prawda jest wszechobecna i wszystko ogarniająca, że absolutna izolacja w świecie nie istnieje, i że jedyną drogą do zdobycia prawdy jest przeniknięcie naszej istoty we wszystko, co ją otacza. Urzeczywistnienie tej wielkiej harmonii między duchem człowieka a duchem świata stanowiło zadanie mieszkających w lasach mędrców starożytnych Indii. Zasada „divide et impera” rodzi zwyczaj zabezpieczenia naszych zdobyczy zapożyczoną fortyfikacją ich i oddzielenia jednej od drugiej. Oddzielamy naród od narodu, wiedzę od wiedzy, człowieka od człowieka.

„Nacjonalizm” jest ostrzeżeniem Azji przed niebezpieczeństwem przyjęcia tego, co w Europie jest najgorsze, namiętne jeremiada i gorącym oskarżeniem materializmu i mechanizacji życia europejskiego, które zaprzępaściło całkowicie wielki ideał etyczny. Rabindranath Tagore apeluje do sumienia świata w obronie swojej ojczyzny, która jęczy pod uciskiem bezosobowej, abstrakcyjnej prasy nacjonalizmu angielskiego. „Jeśli organizacja polityki i handlu przeważa nacjonalizm, to przyszkodzi harmonii wyższych form życia, wtedy źle będzie z ludnością”. Namiętnie zwalczając nacjo-

nalizm, upatrując w nim najgroźniejszy produkt cywilizacji materialistycznej, najwyższe zło, Rabindranath Tagore nie szczędzi Europie gorzkich słów prawdy. „Każdy musi mimowoli zauważyć głęboką sprzeczność, mieszczącą się w tem, że podczas gdy Duch Zachodu kroczy z hasłem wolności na ustach, kuje nacjonalizm zachodu żelazne kajdany, najmocniejsze i najtrwalsze, jakie kiedykolwiek świat widział”. „Europa jest niezmiernie szlachetna, jak długo wzrok jej skierowany na całą ludzkość, a jest materialnie zła wtedy, gdy dba tylko o swoje sprawy i całą siłę używa tylko na takie cele, które sprzeciwiają się temu, co u człowieka jest nieśmiertelne i wieczne. Azja kroczyła zawsze starą drogą i stworzyła kulturę, która nie jest polityczna, lecz społeczna, nie rozbojnicza i mechaniczna, lecz duchowa i na rozlicznych głębszych uczuciach ludzkich oparta”. Istotne zadanie współczesności Rabindranath Tagore upatruje w odwróceniu się od polityki i w społecznej pracy uzgodnienia narodów i mas.

Witając obecnie hinduskiego wieszca w Warszawie, powinniśmy się zastanowić zwłaszcza nad paru zdaniem jego „Nacjonalizmu”, które doskonale trafiają w sedno naszych własnych stosunków.

„Dlatego przypisujemy winę całej naszej nędzy i nieudolności historycznym zdarzeniom, które zwały się na nas od zewnątrz. Dlatego też zdaje się nam, że nasze jedyne zadanie polega na stworzeniu politycznego cudu wolności na wydmach społecznego niewolnictwa”.

At.

Na marginesie wizyty Jerzego Duhamela

Warszawę odwiedził w ubiegłym tygodniu znany pisarz francuski Duhamel. P. Duhamel, którego publiczność polska zna z książki „Żywoty męczenników” i granej w teatrze Polskim komedji „Związek atletów”, przybył do Polski jako rzecznik ideałów, sprzeciwiających się pozabawianiu ludzi wolności z powodu politycznych. Przejęty tymi idealami, bardzo zbliżonymi do zagadnień Paneuropy i pacyfizmu Ligi Narodów, natomiast bardzo dalekimi od klasowego ujmowania zagadnień polityczno-społecznych, p. Duhamel zapomniał w Polsce o tem, że jest literatem. Odmówił jakichkolwiek wywiadów literackich, wychodząc z założenia, że przybył w misji specjalnej. To samo zrobiłby zapewne Huberman, gdyby na kongresie Paneuropy, w którym brał czynny udział, ktoś pytał go o sprawy, związane z grą na skrzypcach. Dookoła p. Duhamela, który naogół mówił bardzo mało, rozpętała się mała burza. Wassercugi z Wassowscey weszły na kazalnice i zaczęły prawić morały, smoki dziennikarskie warknęły kilkakrotnie: हुआ!

„8-mą Wieczór” interesuje najbardziej spór pseudo-literacki. Rozpoczął go p. Kaden-Bandrowski patetycznym listem do autora „Żywota męczenników”, w którym poleca się p. t. „Gościowi z nad Sekwany” jako pierwszej klasy męczennik. Oczywiście, nie wiadomo, za kogo się męczył p. Kaden-Bandrowski; wierzymy mu na słowo, że tak było!

Miętny list Kaden-Bandrowskiego zirytował gorącego Nowaczynskiego, który w doskonale napisanym artykułku polemicznym tak charakteryzuje osobę męczennika z „Głosu Prawdy”:

Wszędobylski, wszędowścibski, lasy na bankiety i tytuły, ordery a wilczo głodny reklamy i rozgłosu literat J. Kaden-Bandrowski znów wystąpił z patetycznym listem otwartym do bawiącego w Warszawie w przejeździe Jerzego Duhamela. Pan Kaden stoi stale na szczudłach, a p. Bandrowski stale patrzy na siebie przez szkła powiększające. To też i aktorski list otwarty autora „Generala Barcza” i „Luku dyszy”, herlaczy megalomanij i pozę na reprezentatywnego męża literatury polskiej. Czego chce młody beletrysta, niewiadomo, gada o tem i owem, ni w pięć, ni w dziewięć, doczepiając oczywiście swoje kulki i bredząc trzy po trzy, że należy czy nie należy do jakiejś partji politycznej tak, jakoby to okropnie rodaków obchodziło.

Uwagi i monita robione doktorowi Duhamelowi są w złym guście i nie na miejscu w „Głosie Prawdy”. Nasz championek reklamy, czując świętowanie sumienia, udaje, że zapomina o tem, jako to on, właśnie on, p. Kaden-Bandrowski, kilka miesięcy temu w tymże „Głosie” jeszcze wówczas czepiał się z kabyotyńską, patetyczną reklamującą siebie odezwą w sprawie więzienia i katowania komunistów w Polsce. Mógł to zrobić ktoś poważny, ale ostatecznie wyskoczył z tem autor „Strzela Baba z Łuku” i mimo tego wzięto to poważnie, tłumaczono zagranicą i stąd nowy dokument o polskim białym terrorze.

Teraz p. Bandrowski udaje, że nigdy nic i, on, który przeciw nam podniecił swym kabyotyńskim listem różnych Duhamelów, znów wypisuje autorklamiorskie listy, wzywające aragancio Duhamelów do porządku. Ot, uspokoiłby się raz wzdęty zielony bałonik!...

Przyznać trzeba, że p. Nowaczynski, który nie często miewa rację, tym razem nie bardzo się myli. Istotnie w tem patetycznym teatralno-militarnym moralizatorstwie, napuszonem i zadowolonym ze siebie, jest coś, co napelnia głębkim wstrętem.

Wskrziesić Teatr Bogusławskiego!

Teatr Bogusławskiego przestał istnieć! Miasto pogrzebało go cicho, bez wielkiego hałasu; jak podczas podróży po dalekim oceanie wrzucono trupa na dno morskie nocą, pokryjomy, by nie raził pięknych oczu wytwornych posażerów. Za rok, za dwa t. zw. teatralna Warszawa zapomni, że miała kiedyś doskonały teatr, którego jedynym grzeszem była głęboka, szczerza uczciwość artystyczna.

Pogrzebanie teatru Bogusławskiego nie jest jednak tylko wdeptaniem w ziemię wysokiej placówki artystycznej. Morderstwo, którego magistrat na nim dokonał, ma podłoże głębsze, a skutki jego odbijać się będą o wiele mocniej i sięgać dalej, niżby się zdawać mogło.

Teatr Bogusławskiego był jednym w Polsce teatrem czynnym, nie frazesu. Czyn ten polegał na tem, że teatr Bogusławskiego nie tylko deklamował o kontakcie z szerokiemi masami, ale kontakt ten nawiązywał.

Nie chodzi o to, czy w repertuarze, w inscenizacji, teatr był popularny, dostępny dla każdego widza. Kontakt teatru z masami polegał na tem, że cały jego organizacyjny wysiłek szedł w tym kierunku, by stać się przybytkiem najszerszych rzesz pracujących.

Teatr Bogusławskiego, nieproporcjonalnie tańszy od

wszystkich innych teatrów warszawskich, szukał i znajdował swą publiczność wśród mas, które naogół od teatru stronią, gdyż jest to dla nich pańska, zbyt droga rozrywka.

Masy te, odporne, nieufne, bo karmione dotychczas frazesem demokratycznym, z początku dosyć chłodno odnosiły się do instytucji, w której za parę groszy mogły słuchać i patrzeć; z biegiem jednak czasu zaczęły zbliżać się do „swego” teatru. Dosyć porównać frekwencję „Potemkina” granego w roku 1925, z frekwencją „Róży”, „Rewizora” i „Nieboskiej” z roku 1926, by stwierdzić, że ta właśnie publiczność, do której chciał trafić teatr Bogusławskiego, obudziła się.

Jak w każdej pracy społeczno-kulturalnej, tak i w teatrze artystycznym, rezultaty nie pokazują się z dnia na dzień; trzeba być wypracowaną, trzeba żłobić dno ciągłym, konsekwentnym wysiłkiem. Pracę tę, prowadzoną przez dyrektora Schillera z niesłychaną wytrwałością, magistrat przewał ordynarnem kopnięciem zniecierpliwionego stupajki.

Olbrzymi gmach runął. Nie tylko zniszczono pięknie rozpoczęte dzieło, ale brutalnie wyrzucono masy z teatru.

Ci, którzy na zjazdach i bankietach deklamują o pracy nad „ludem”, ci, którzy z miną świętoszków biadają nad niskim poziomem szer-

kich mas, pozbawili te masy szlachetnego widowiska, umieszczając na drzwiach teatru napis: wejście nie dla was!

Bo czyż proletariusz, pracujący fizycznie, czy intelektualnie, może marzyć o miejscim teatrze dramatycznym, czy jest w stanie zdobyć się na wysiłek pójścia do teatru prywatnego? Zabójczo wysokie ceny, odstraszające nawet bogaczy, są dla niego przebytą zaporą. A zresztą teatry te tak często grają sztuki puste, obliczone na lechtanie zmysłów, na tania, nikczemną sensację, że człowiek rzetelnej, twardej pracy nie w nich dla siebie nie znajduje.

Zbrodnia morderców teatru Bogusławskiego jest ogromna. Teni, skostniałi w zatęchłym formalizmie, złośliwi i obłudni, nie rozumieją, że teatr, który nie ma kontaktu z najszerszymi masami, staje się czemś, podobnym do grobu. Świadomie, cynicznie, dla dogodzenia ambicyjkom i partydyństwu, pozbawili najszersze masy czystej szlachetnej rozrywki, wpełniali je w objęcia nor przedmiejskich, zwanych kinematografami, włożyli do szynków i knajp.

Zbrodnia musi być nie tylko ukarana, ale i naprawiona. Teatr Bogusławskiego musi powstać na nowo. Jest to dziś nie tyle postulat artystyczny, ile społeczno-kulturalny.

Jack Frühling

KONKURS LITERACKI

Redakcja 8-iej Wieczór w porozumieniu z Warszawską Spółką Wydawniczą Orient R. D. Z. East rozpisuje

Konkurs na powieść,

łączącą treść sensacyjną i popularną z istotnemi walorami literackimi

Wielkość: Niemniej niż 120 i niewięcej niż 160 stron formatu książek 95 groszowych

NAGRODY: I — 250 złotych oraz honorowane książkowe wydanie nakł. Warsz. Sp. Wyd. Orient R.D.Z. East.

II — 100 złotych oraz honorowane książkowe wydanie nakł. Warsz. Sp. Wyd. Orient R.D.Z. East.

III — honorowane książkowe wydanie nakł. Warsz. Sp. Wyd. Orient R.D.Z. East.

RĘKOPISY, PRZEPISANE NA MASZYNIE I ZAOPATRZONE GODLEM, NALEŻY NADSYLAĆ DO DNIA 20 STYCZNIA 1927 r. DO REDAKCJI 8-mej WIECZÓR W WARSZAWIE, PROSTA 17

SKŁAD JURY ZOSTANIE OGŁOSZONY W STYCZNIU 1927 R.

Rodzina Maliniaków

P. Juljan Maliniak przetłumaczył na język polski doskonale książkę Erenburga „Oblicze wojny”, o której pisaliśmy w poprzednim numerze „8-iej Wieczór”. Tłumaczenie nie najgorsze, grzeszy jednak ruscyzmami; zaimek on, ona, ono, oni powtarza się niemal w każdym zdaniu. Na drobiazgi te nie zwraca

najmniejszej uwagi p. Zofja Maliniak. W feljetonie, drukowanym w warszawskim organie p. Witosa, czytamy dosłownie: „Wartość powieści utalentowanego pisarza podnosi doskonały, świetnie opracowany przekład polski. Należy to podkreślić tem bardziej, że przez tłumacza ani jedno słowo z oryginału nie

zostało uronione. Zapamiętany wreszcie i podkreślony został każdy nastrój”.

Wielką zaiste potęgą są uczucia rodzinne. Doprowadzić nawet potrafią do tego, że Maliniak rodzaju żeńskiego potrafi konstatować, że Maliniak rodzaju męskiego nie nie uronił z oryginału i jako tłumacz zapamiętał każdy nastrój...

K S I A Ź K I

Ufa zalewa polski rynek kinowy tandetą

Wiktor Margueritte.
Młode pokolenie.

Inst. wyd. Renaissance, str. 358.

Mimo szlachetnego celu: zwalczania wojny, romans ten — ostatni w trylogii romanów obyczajowych, jest wręcz szkodliwy, ponieważ głupotą swoją kompromituje ideologię prawdziwego antymilitaryzmu. Stanowiąc właściwą treść tej książki przeciwstawienie dwóch obozów: z jednej strony ogromnego świata zepsucia, wyuzdania i korupcji burżuazyjnego społeczeństwa za lat dwadzieścia, z drugiej zaś — twierdzy cnoty i sprawiedliwości, reprezentowanej jedynie przez dwie francuskie rodziny, — jest tak nieprzekonywające, tak nieudolne, że sympatie czytelnika skłaniają się raczej ku występki, byleby się nie znaleźć w jednym obozie z ową „Cnota”. Ustrój świata, ideał socjalny, przyszłość ludów staje się w tym romansidło pana Margueritte'a, w tej apologii najbardziej ogłupiającego i płaskiego socjalizmu mieszczańskiego, zagadnieniem życia płciowego zaprzyjaźnionych rodzin Jacquemin i Blanchet: sprawiedliwość społeczna, wysnuta ze zreformowanej sypialni małżeńskich, jutro widziane w kropki spermy. Te dwie rodziny, którym autor każe być wysepką moralności w morzu zepsucia, odrzucić całą ludzkość, zwalczyć skutecznie ucisk, zgłodzić, pchnąć świat na nową tory — oto garstka kabotyńców, moralnych hypokrytów, podszytych fałszywym idealizmem, bohaterów i bohatererek z pocztówek noworocznych, płaszczem kwakerskiego apostołstwa, drapujących zachcianki wybujałego instynktu płciowego; ograniczonych głuptasów, prowadzących na paruset stronicach dyskusje, których naiwności powstydziliby się uczniowie trzeciej klasy.

Romansidło to w istocie jest niczem innym, tylko o wiele za długą i za nudną broszurą agitacyjną feminizmu; bardziej nawet na stronicach quasi-cnotliwych, niż na tych, które pławią się w opisach rozpuz-

sty. Nie spotykamy w całej książce ani jednej żywej postaci, ani jednego żywego obrazu — wszystko sztuczne, obłudne, ekliwe i napuszone, a nade wszystko niezmiernie głupekowate. A nadto tak nudne i nużące, tak pozbawione krzty wyobraźni, że utwory naszej Mniszkówny wydają się w porównaniu szecherezadą pysznej fantazji.

Przyłączamy się do wyrazów oburzenia na kapitulę leżącą honorowej, która, odebrawszy panu Margueritte'owi order, dała mu wzamian rozgłos i, co za tem szło, obdarzyła nas przekładami jego tasieśców. Niestety, tak już być musi, istotnie wartościowa twórczość współczesnej Francji, twórczość Prousta, Pawła Valery, Apollinaire'a, Giraudoux nie znajdzie dostępu do naszej publiczności, skazanej przez wydawców na trawienie lichej polewki z kuchni literackiej panów Margueritte i S-ka.

Jan Niwiński.

Opowieści pilotów.

Biblioteka autorów polskich

Pocziwne sztubackie bajdurzenie na temat lotnictwa i lotników, tuzina Cześków, Janków, Felków, Jędrków, Staśków i Alin sadzące się to na jacklondonizm, to znów na niesamowitość i zgrozę, strachy i widma.

Mimo przechwałek autora, że brał udział w wojnie z bolszewikami, że ma „siwiejący łeb” i t. d., nie ulega chyba wątpliwości, iż autor jest co najwyżej trzynastoletnim chłopczykiem i to, jak na swój wiek, niedorozwiniętym i nieinteligentnym.

Z nazwiskiem tego „wunderkinda” spotykaliśmy się już zresztą w „Robotniku”, piśmie, które w swej bezgranicznej pogardzie dla robotnika, wychowuje go wyłącznie na literaturze elementarzonej. Zapytujemy „Bibliotekę młodocianych autorów polskich”, czy Jan Niwiński uczęszcza do szkół, a jeśli nie, to czy wina nie spada na Bibliotekę M. A. P., jako też na

redakcję „Robotnika”, która, drukując utwory tego pacholecia, odciała go od nauki i zwichnęła mu życie.

95 groszy.

A. Bennet.

Rozrywki milionera

Biblioteka Groszowa, str. 139.

A. Bennet, głośny pisarz angielski, należy do nielicznych mistrzów sensacji, umiejących z matematyczną dokładnością odważyć i umieścić każdy efekt. Treść „Rozrywek milionera” stanowi szereg nader pomysłowych przygód młodego awanturniczego milionera, kawalera, nowej odmiany typu gentlemana wlamywacza, który z nudy szantażuje swoje otoczenie. Szlachetny z natury, ale świadomy niemoralności swego środowiska, świata wielkich finansów, doprowadza ją do granic występku, korzysta z niej dla rozrywki, nie gardząc zresztą „lekkim zarobkiem”. Wreszcie żeni się z dziennikarką, wtajemniczoną w jego machinacje, i przyrzeka poprawę, w którą czytelnik nie bardzo wierzy. Książka jest napisana lekko, zręcznie, bardzo pomysłowo i bardzo cynicznie.

Jak w wielu innych dziełach dziesięciopięcioletniego z groszowych książkach rysunek okładek nie ma nic wspólnego z treścią książki.

Włodzimierz Korsak.
Pieśń puszczy.

Nakładem B. Perzyńskiego.

Myśliwska powieść p. Włodzimierza Korsaka obfituje w konwencjonalne opisy natury, posiada konwencjonalną akcję i konwencjonalne postacie, a mimo to technicznie swoistym urokiem. Płynie ten czar z jakiegoś zasluchania, z jakowejś ciszy, z epickiego spokoju i pewności widzenia rzeczy, co prawda banalnych i wielokrotnie opisywanych, z atmosfery lepszej, w którą autor wczuł się głęboko i którą umiał opisać wiernie.

mob.

Metropolis — Miasto przyszłości

Jeder: z najsłynniejszych reżyserów filmowych w Niemczech, Fryderyk Lang, twórca „Grobowa Indyjskiego”, „Dzera Mabuza” i „Nibelungów”, pracuje od roku nad gigantycznym filmem p. t. „Metropolis”.

W miejscowości Nowy Babelsberg, położonej w okolicy Berlina, stanowiącej własność UFY, wybudowano fantastyczną stolicę świata, centrum techniki, siedzibę miliardów, METROPOLIS.

W Metropolis główną rolę kobiecą kreuje młoda debiutantka, Brygitta Helm, odkryta niedawno przez Langa, który w niej pokłada niezłomną nadzieję, że wkrótce zaćmi stare gwiazdy Europy, a może i Ameryki. Partnerem jest jeden z najinteligentniejszych i najlepszych aktorów niemieckich — Alfred Abel.

Autorka scenariusza, Thea von Harbou, opisała niedawno na łamach jednego z najpopularniejszych miesięczników swoje wrażenia, odniesione podczas zdjęć do kulminacyjnego punktu tego niezwykle go filmu — sceny spalania czarownicy na stosie. Poniżej podajemy urywek charakterystycznego opisu:

...dziesiątki lamp rtęciowych zalewały zielonkawym, upiornym światłem olbrzymi plac przed katedrą Metropolis. Ka-

mienny ogrom gotyku przytłaczał swą ponurą wielkością, posągi świętych zdawały się uśmiechać z nisz.

Sygnal. Białe, przeraźliwe światło zalewa plac; zielonkawym odbłask lamp rtęciowych błędnie, powstają jakieś dziwne, nierzeczywiste, niebieskawo-zielone refleksy. Drugi sygnal. Fale ludzkie otaczają kręgiem katedrę; czarne postacie o twarzach, przypominające kolorem twory morskie, i o fioletowych ustach. Pogwar odbija kilkakrotnie echem od murów gotyku.

— Uwaga! — spokojny głos reżysera, nę podnoszącego głosu ani o jotę, wbrew ogólnemu mniemaniu, kojarzącego reżysera z nieodstępną tubą wywołuje działanie piorunujące. Zalega śmiertelna cisza.

— Scena jest bardzo łatwa — mówi dalej Lang. — Schwyta! — dziewczynę, która spowodowała upadek waszego miasta, i ciągniecie ją na stos. Tam, obok lampy, stanie stos, na którym ją spalicie.

Zniechęcenie ogarnia statystów, a więc to wszystko?

Przezyciążają się — naprzód! Bezradnie szukają materiału na stos.

Wskazówka reżysera: — gdy rewolucja wybucha w Metropolis i ciemności zalegają ulice, utkwily gdzieś auta. Pysz-

ny materiał na stos! — Masa rzuce się na auta; zbiorowy wysiłek setek ramion! Wąskie, długie limuzyny i karoserje o zapalonych reflektorach poruszają się, ślizgają, bezładnie wpadają na siebie, szczątki pogruchotane, piętrzą się stos. Kobiety rechoczą radośnie. Ciągną fortepian, gruchocą klawiszki. Biurka... książki... stosy książek... drzwi, rami okienne. Stos rośnie...

Włoka czarownicę. Paskiem reżysera wiążą jej ręce na plecach, ciągną za jasne włosy. Sześć, osiem ramion wciąga ją na platformę auta, wystającą ze stosu.

Żle! Jeszcze raz. Znowu źle. Dziesięć, piętnaście, dwadzieścia razy! Jeszcze niedobrze. Zbyt mało brutalnie — jeszcze raz. Masa wyje, szarpie, miażdży czarownicę. Biedna mała Brygitta Helm! Nazajutrz wyglądała, jak robótka baticzowa, tak była pokryta sińcami na całym ciele.

Zapach benzyny, nafty, spirytywu rozprzestrzenił się. Góry bawełny drzewnej, przepalonej łatwopalnymi substancjami piętrzą się na stosie.

Wyczuwa się prawie wibrację nerwów w naelektryzowanej atmosferze.

Przeciągnął świst gwizdanki. Niebo na wschodzie różowieje. Dwa szpaki unoszą się nad kamiennymi lwami, ustawio-

Mniemanie, że polskie filmy są szczytem niedolestwa i lichoty, okazuje się mylnie.

Rekord biją bezwarunkowo ostatnie filmy UFY.

Po „Br. Schellenberg”, mizernej parodji słynnego dzieła Bernarda Kellermana, i „Tartuffe'a”, najbardziej moźe klasycznym przykładzie zniekształcenia, wyświetla kino Palace „Skrzypka z Florencji”, nowy 8-aktowy dramat UFY z K. Veidtem i E. Bergnerem.

Niezem są tortury św. Hermandady wobec piekielnych mąk zablakowanego widza, który, znęcony szumną reklamą, zmuszony jest przez długie 8 aktów „podziwiać” tę rewję brzydoty, nudy i pseudo-psychologii. „Skrzypek z Florencji”, niesłychanie ciekawy problemat erotyczny, — brzmi ogłoszenie Palace'u, coż kiedy w obrazie niema ani skrzypka, ani żadnego problemu miłosnego, czy jakiegokolwiek innego, a jest tylko parę szablonych zdjęć Florencji.

Obraz jest rodzajem swojej niemieckiej interpretacji „Przygód Janka Wędrownicza”; wierzyć się wprost nie chce, że pomimo wszystko UFA jest matką tego poronionego płodu zalanego piwem mózgowicy. Brak słów na określenie defilady dużych, mniejszych, grubszych, płaskich i kanciastych Niemek, przesuwających się przez ekran. Wśród powodzi pospolitych, bezmyślnych fizjonomij wyróżnia się fenomenalną brzydotą Elżbieta Bergner. Wysokie kwadratowe czoło, mięsisty szeroki nos, duże usta i rzadkie włosy w połącze-

niu z kanciastą, chudą figurą podlotka — oto obraz nowej „gwiazdy” UFY. Elżbieta Bergner jest do tego stopnia nieapetyczną, że widz drży chwilami, by „delikwentka” na ekranie nie uchyliła czasem rąbka tajemnic swego niepełnego ciała. Jeśli p. Bergner rzeczywiście się spodobała, jak fama głosi, Bernardowi Shaw, to jest to jeden dowód więcej, że ten czcigodny pisarz to wielki oryginał.

Biedny Veidt, epizodyczny ojciec, biedny wychudły pater familiae, szamoce się na filmie między młotem a kowadłem, szepną złośliwą córeczką i despocyzną żoną, puciołowatą blondynką.

Treścią obrazu są nieciekawe perypetje kapryśnej jedy-naczki, która wędruje sobie w kusych spodenkach (aby wydatnie nowab chuderlawych kończyn), póki nie zjawia się odpowiedni młodzian, który, „olśniony” jej „urodą”, porywa nieboraczkę w objęcia.

Jeśli UFA i nadal produkować będzie podobne „arcydziała”, to zniechęcona publiczność z pewnością przyjmie nieprzychylnie nawet lepsze obrazy.

Niesposób pominąć milezmem napisów nadprogramowych „Cudów zatoki neapolitańskiej”. Autor ich dał zamiast tekstu zbiór takich kwiatków, jak np. „uwiedziona w siedzibie uwodziciela...”, „Adamsia ulega płomiennym uściskom”.

Mowa o roślinie z rodziny pokrzywowatych.

Stanisław Pomian.

Przegląd teatralny

Premjera w Qui Pro Quo.

Najsilniejszą, najmiłą i najjaśniejszą stroną teatryku w Galerji Luksemburga jest groteska. Wszystko, co teatrzyk ten pokazuje we wkleśnym zwierciadle, ma humor, dowcip, jest żywe. I autorzy i aktorzy „Qui Pro Quo” w grotesce czują się najlepiej.

Ostatnia premjera składa się niemal cała z grotesek, dzięki temu też wrażenie pozostanie jak najlepsze.

Świetne są obrazy z dziedziny satyry politycznej; im-pas Sejmu, zdezorientowanie społeczeństwa, który rząd pochodzi „od Boga”, a który „od diabła”, kogo słuchać, a kogo nie — znalazły plastyczny barwny wyraz w scenkach „Polska Jesień” i „Pan burmistrz z Pikutkowa”. Groteska obyczajowa uwewnętrznia się w parodji tańca hiszpańskiego oraz w karykaturze ulubienicy Warszawy — Zuli Pogorzelskiej. Ponadto kapietalna jest rozmowa optymisty i pesymisty na temat lotu Orlińskiego; doskonała również piosenka Krukowskiego o kłopotach taty.

Dekoracyjna oprawa wszystkich punktów programu niezwykle artystyczna, staranna i subtelna; pomysłowość dekoratora wzbudza podziw. Wy-

konanie naogół na bardzo wysokim poziomie. P. Jarossy mówi znacznie mniej, niż w poprzednim programie, ale zato znacznie więcej dowcipnych rzeczy; piosenkę „A tymczasem pod łóżkiem” wykonywa dyskretnie i z umiarem. Ordonaówna, wielki talent parodystyczny (jakże niezrównany był kiedyś jej Wertyński), daje doskonale podpatrzoną parodję Pogorzelskiej. Zimińska jako sto procentowa Hiszpanka — przepyszna. Jak zwykle, świetnie Krukowski. Dymśa wyrabia sobie własny styl kabaretowy: bezruch, który w pewnej chwili wybucha, jak huragan. Jest to dziś jedna z gwiazd „Qui Pro Quo”. Kapitałny jest Skonieczny jako burmistrz Pikutkowa; doskonały w tonie komediowym Minowicz jako sekretarz Śliczaniakowski. Produkcje Parneśla i Pawliszczewej ponad wszelką pochwałę.

Z pierwszorzędnego naogół programu, zmontowanego ręką dużej miary satyryka i poety, warto usunąć ekliw, za długą legendę chińską, młodą poprawnie przez Kalinównę, i bardzo niesmaczną „Szkolę pocałunków”, w której p. Zdanowiczowi się zdaje, że jest młody, pikantny, pociągający i czarujący.

Fr.

nemi nad portykiem świątyni. Ocean światła, ryk tysięcy ludzi nie przestrasza ich.

Fryderyk Lang podnosi ramię, w którym trzyma płonąca pochodnię. Ostatni rzut oka wokoło.

— Gotowe. Uwaga! Zdjęcie!

Pochodnia pada na stos. Z sykiem strzelają płomienie do góry. Tłumy ogarnia szal, masa wiruje w szalonym tańcu.

Twarz czarownicy widnieje w płomieniach, wykrzywiona obłędnym uśmiechem...

Niezadługo odbędzie się w największym kinoteatrze UFY w Berlinie premjera Metropolis.

Nie jest rzeczą wykluczoną, że arcydzieło zawita do Warszawy jeszcze w bieżącym sezonie.

P.

Przegląd kinowy

APOLLO:

„Czy powinniśmy milczeć“ akt. 8.
Biuro „Petef“.

Film starego typu w nowym opracowaniu. Istnieją filmy tendencyjne dwójakiego rodzaju: obrazy, w których pewne grupy faktów mówią same za siebie, nasuwając widzowi odpowiednic, konsekwentne wnioski, i inne — o zgóry zakreślonej tendencji, naginające fakty w sposób jaszkrawy do wytkniętej linii. Dotychczas filmy tego drugiego rodzaju produkowała przeważnie bogobojna Ameryka, która wytworzyła w tej dziedzinie nawet rodzaj swojego monopolu. Pierwszy wyłom w tej forticy, nawiasem mówiąc wątpliwej wartości, jest zasługą wytwórni „państwa bojaźni bożej“. Ryszard Oswald, zazdroszcząc laurów Jankesom, stworzył film, który miał być „wstrząsającą przestrogą“, a jest je-no wcieleniem nudy i niesmak.

Nie jest zadaniem łatwym stworzyć film przynajmniej artystycznie „dostateczny“ na podstawie szablonowego scenariusza, przeladowanego tendencją po brzegi. Nie więc dziwnego, że Oswald zadaniu nie podołał, co uwydatnia raptowne załamanie się inwencji i beznadziejna szarzyzna akcji drugiej połowy filmu. Początek, aczkolwiek obfituje w sceny wysoce niesmaczne (vide strofowanie młodego kretyna pacjenta przez lekarza), niepozabawiony jest walorów. Natomiast poczynając od aktu 4-go następuje spadek poziomu, mamy więc nieunikniony „upadek“ bohatera i powolne, ach, jakże powolne staczanie się na dno.

Konrad Veidt, tragiczny z krwi

i kości, w którego fascynującej twarzy czai się obłęd, dał mistrzowską postać degenerata (naturalnie alkoholika, kokainistę i rozpustnika, lecz poco nadobitek rzeźbiarza? Czy np. dyrektor banku nie może być wybitnym zbrojcem?). Genjalna obserwacja i fenomenalna gra, a przede wszystkim niespożyty talent Veidta są jedynym walorem filmu.

Obraz kończy się rodzajem „apelu“, wykwittem gruboskórności, którego forma zarówno, jak i treść, wywołuje niesmak.

PAN — CORSO:

„Hazard życia“ akt. 8.
„Wynajęta żona“ akt. 8.
Biuro „Universal“.

Maurice Tourneur, twórca „Wyspy Zaginionych Okrętów“, jest jednym z nielicznych reżyserów dużej miary, uwzględniających przede wszystkim pierwiastek fizyczny, częstokroć na niekorzyść intelektualnych czynników.

Chociaż „Hazard Życia“ wypadł znacznie słabiej od wspomnianej „Wyspy“, ale wnosi w ów świeżego powietrza do nużącej atmosfery filmów psychologicznych. Fabuła, jak zwykle w filmach sensacyjnych, szwankuje, zato akcja porywa rytmem i niebywałym rozmachem. Szczególnie ciekawa inscenizacja wyścigów; doskonały akompaniament orkiestry potęguje emocje.

Bert Lytell w roli lorda Woodstock'a mierny, lecz dobrze wytrenowany sportowo; partnerki bardzo słabe.

Nad program „Wynajęta Żona“ film blady i źle pomysły. Virginia Valli i Pat O'Malley — charakterystycz-

ne typy drugorzędnych aktorów amerykańskich. P.

ŚWIATOWID:

„Ulubienica Wiednia“ akt. 12.
Biuro „Muza-Film“.

Fryderyk Celnik, jeden z najlepszych reżyserów europejskich, pod wielu względami przypomina Lubicza. Oby znamię precyzji wykonania i staranne opracowanie szczegółów technicznych. W scenach zbiorowych starannie unikają szablonowej mechanizacji, zastępując ją wybitną indywidualizacją poszczególnych jednostek. Weźmy np. scenę balu dworskiego. Ani śladu skoordynowanego ruchu, każda grupa, a nawet każdy aktor zoddzielna stanowią mały zamknięty światek o charakterystycznych odmianach.

„Ulubienica Wiednia“ jest m'łym i lekkim filmem. Bezpretensjonalna akcja, tocząca się wartko, urozmaicona oryginalnymi pomysłami komicznych sytuacji. Scenariusz opiera prawdę szablonowy, lecz pozabawiony szczęśliwie balastu psychologicznego. Zwracają uwagę ciekawe zdjęcia z zastosowaniem zwierciadeł wkleśłych.

Lya Mara dała dobry typ młodej wiedenki; jako tancerka nie ustępuje Mac Murray. Verebes, — sympatyczny aktor najmłodszej generacji, zapowiada się bardzo dobrze. W roli młodego kadeta wykazał nieprzeciętne zdolności ekranowe. Fotografja bez zarzutu, koloryt filmu jasny.

Pieta Achillesowa filmu jest piosenka o idyotycznym refrenie w rodzaju:
jufajdi, fajdi, hajda, jufajdu, hajdi.

A to co znowu takiego? P.

M u z y k a

Modą sezonu stał się Mozart. Filharmonia po inauguracji rozpoczęła cykl piątkowych koncertów mozartowską symfonią t. zw. „Jowiszowa“ (o ile idzie o charakter muzyki, mogłaby równie dobrze być nazwana „Lauro i Filonową“); następny koncert dał nam rozkoszną „Eine Kleine Nachtmusik“; Prihoda na pierwszym koncercie zagrał (zapewne bez przekonania) koncert d-dur Mozarta, a Casadesus rozpo-

czął swój recital Mozartem (sonata f-dur). Nie powiem, żeby mnie perspektywa gruntownego zmoartowania sezonu koncertowego miała zbyt nie cieszyć lub wzruszyć. Jeżeli kto dziś jeszcze zdolen jest rozkoszować się w sali koncertowej Mozartem — bardzo mu zazdroszczę. A już w zachwyt słuchacza Mozartem u nas — nie uwierzę. Mozart należy do przeszłości. Tak, jak pudrowana peruka, jak

dwór Mariji Teresy, jak cesarz Józef II. Przetrwa Haydn, przetrwa Schubert, ba, Laner i Jan Strauss przeżyją Mozarta — w sali koncertowej. A nawet już go przeżyli, jak w innej dziedzinie przeżył się Schiller. „Pantarei“. A jeśli całe okresy i epoki w historii sztuki przeżywały swój nawrót, to Mozart najmniej ma warunków po temu, chyba, że kiedyś w przyszłości przywróconą zostanie

komunikacja dyliżansem z Wiednia do Pragi. Co innego w operze. Ale w sali koncertowej — nie waham się twierdzić — coraz mniej znajdzie się instrumentów duchowych na estradzie i w audytorjum, w których Mozart wywołałby rezonans. I jakżeby mogło być inaczej! Mozart — to w obszernych apartamentach potężnego gmachu jeden nieduży pokój dziecinny o białych ścianach, oknach bez firanek, prostych meblach i łóżeczkach, bardzo jasnych obrazkach, zawieszonych pełną naiwnego braku zrozumienia, pęczoławitą ręką kogoś, kto tu jest nieobecny, nieotrzebny i nieoczekiwany, nieznan i nieprzeżywany.

Wchodzimy tam, i znajdujemy wszystko w porządku, tylko że dzieci nie ma, a my dziećmi nie jesteśmy. Ktoś powiada: przeczysta harmonja, symfonia bieli w ramach rococo! Tak, ale ten sam ktoś zamyka oczy, wsłuchany w Bethovena, Chopina, Schumanna i, wzruszony, nie mówi. Nie ludźmy się i nie zakrywajmy konwencjonalnym frazesem tej prawdy, że my jesteśmy za mało nawiśni, za bardzo skomplikowani, zbyt wielostronni, aby nas Mozart przekonać, lub zgola zachwycić był w stanie. Więc cóż zostaje? „Koncert“. Xy wyszedł na estradę, uklonił się publiczności, uklonił się Mozartowi i dał sposobność do konwersacji na temat zwiewności, stylizacji, uderzeń i pedalizacji. Jeżeli to jest czynnikiem kultury duchowej — zgoda i na to: „eviva l'impresario!“! Jeżeli zaś to ma być tylko popis techniki, czy deklamacji drukowanego utworu, to dziękuję: nie jestem bałazem, ani przemysłowcem muzycznym, i mało mnie zajmuje, czy i jak XY skorzystał z uwag i rad swoich nauczycieli. Pozostaje tylko jeszcze czysto zmysłowe rozkoszowanie się pięknem tonu, głosu. I oto jesteśmy u celu: Mozart był, czy nie był, mniejsza o to; już go niema; ale Bösendorfer, Steinway, Pleyel jest i do nabycia; „Apassionata“ czy „Karuzerowska sonata“ — mniejsza o to; ale pasaż, staccata, trylery, — znakomite! I oto publiczność mimowoli asystuje niewiedziałnym zapasom bokserskim na estradzie, staczanym między duchem zmarłego twórcy a jego żywym „odtwórcą“, mimowoli sama przyczynia się do generalnego egzorcyzmowania ducha z muzyki na rzecz spekulacji i efekciarstwa, mimowoli przyczynia się do uśmierzenia twórców i artystów na rzecz wirtuozów. A teraz py-

tam: który z rzetelnych polskich twórców może się wykazać należnym uznaniem i zrozumieniem pewnej przynajmniej części swego społeczeństwa? I naodwrot: który z miliona warszawian nie zalicza się do parafji jednego choćby tenora i jednej z div operetkowych? Przy słuchaniu Mozarta „na zimno“ nasuwają się czasem takie refleksje. Ciekaw jestem, o czym myślało kilkaset innych słuchaczy Mozarta (bo słuchaczki przeważnie przglądały się w lusterkach i poprawiały szminkę na wargach). W nabożnym skupieniu natomiast słuchało całe audytorjum Monteverde'go „Recitativo e Lamento z opery Arianna“ w wykonaniu p. M. Freund z towarzyszeniem orkiestry Filharmonij pod dyr. p. Fitelberga. Duch dawnych dobrych czasów sztuki dostojnej powiał przez salę, która zdawała się enwłami tumem średnio-wiecznym o gotyckich witrażach, a chwilami znów teatrjum greckiem. A kiedy po skończeniu produkcji zerwała się burza oklasków, wyczuć można było wyraźnie, że był to aplauz rąk złożonych do mo-dlitwy, dziękczynny pokłon, a nie hałaśliwe „bravo“ plebsu. Taka publiczność jednak warta jest pieczołowitości w doborze strawy duchowej. A swoją drogą trzeba zaznaczyć, że i wykonanie tego numeru programu osiągnęło szczyt doskonałości. P. Fitelberg poprowadził orkiestrę w sposób zgola rewelacyjny; w tym akompaniamencie była muzyka i architektura, była akcja i nastrój, był tekst i gest aktora, było nawet jakgdyby naturalne akcentowanie słów tekstu. Z taką doskonałością wykonania starożytności przez zespół kilkudziesięciu wykonawców, opanowanych jednym duchem, rzadko można się spotkać nawet w środowiskach kultury muzycznej, wyższej niż u nas. Wogóle orkiestra i dyrygent miały na tym koncercie swój „dobry dzień“. Straussa „Sowizdrzał“ doznał realizacji tak precyzyjnej, wyrazistej, brawurowej, że... chyba każdy literacko nastrojony słuchacz mógłby swoimi słowami fabułę utworu żywo i barwnie opowiedzieć. I co tu mówić o muzyce „programowej“ lub przeciwnej: istnieje tylko muzyka tworzona z talentem lub też bez talentu.

Ogółem tydzień ubiegły dał nam wiele dobrych wrażeń muzycznych. O triu Kmita i Casadesus po następnych koncertach tych artystów.

W. Sobel

NA KLADDEM

WARSZAWSKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ

ORIENT R. D. Z. EAST

W WARSZAWIE, PROSTA 17. TEL. 408-95.

KONTO CZEKOWE W P. K. O. 13.564.

ZBIOROWE WYDANIE POWIEŚCI PODRÓŻNICZYCH

KAROLA MAYA

33 TOMY WYSZŁY Z DRUKU. CENA 95 GROSZY

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

NA KLADDEM

WARSZAWSKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ

ORIENT R. D. Z. EAST

W WARSZAWIE, PROSTA 17. TEL. 408-95.

KONTO CZEKOWE W P. K. O. 13.564.

OSTATNIA POWIEŚĆ

B. KELLERMANNA

BRACIA SCHELLENBERG

4 TOMY PO 95 GROSZY

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

ZNAKOMITA
POWIEŚĆ

P. FLAMMA

p. t. *Ja?*

WKRÓTCE OPUŚCI
PRASĘ

W. I. W.

WARSZAWSKI INSTYTUT WYDAWNICZY

W WARSZAWIE, ŁUCKA 38. TEL. 291-67.

KONTO CZEKOWE W P. K. O. 5191.

NOC WALPURGJI

GUSTAWA MEYRINKA

3 TOMY PO 95 GROSZY

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

OSTATNIA NOWOŚĆ

KAROLA MAYA

JASNA SKAŁA

Do nabycia wszędzie

GUILLAUME APOLLINAIRE

Amfjon Mesjasz fałszywy albo Zdarzenie i dzieje Barona d'Ormesan'a

przełożył ADAM WAŻYK

Copyright by Orient R. D. Z. East Warsaw.

PRZEWODNIK

Mijało piętnaście lat od czasu, jak przestałem widywać Dormesana, swojego towarzysza z kolegijum. Wiedziałem tylko, że zebrałszy i roztrwoniwszy dość pokaźny majątek, oprowadzał cudzoziemców po Paryżu.

Pewnego dnia spotkałem go przed jednym z największych hotelów na bulwarach. Żując cygaro, cierpliwie czekał na klientów.

Poznał mnie pierwszy i zatrzymał w przejściu. Widząc, że twarz jego nie nasuwa mi żadnego przypomnienia, sięgnął do kieszeni i podał mi kartę wizytową: Baron Ignacy d'Ormesan. Chwyciłem go w objęcia i, niezdziwiony tą nobilizacją, bezwzruszenia świeżej daty, zapytałem, jak mu się wiedzie, jaki urodzaj cudzoziemców jest tego roku.

— Uważasz mnie za przewodnika, — zawołał oburzony — za przewodnika, zwykłego przewodnika?

— Zdawało mi się, — wybelkotałem — tak mi mówiono...

— Ta ta ta! Żartował, kto ci to mówił. Sprawiasz na mnie wrażenie człowieka, który pyta znakomitego malarza, czy ma dużo zamówień na roboty murarskie. Artystą jestem, drogi przyjacielu, co więcej, sam stworzyłem swoją sztukę i tylko ja jeden potrafię ją uprawiać.

— Nowa gałąź sztuki? Do krośset!

— Nie szydź — skarcił mnie surowo — mówię poważnie.

Kiedy go przeprosiłem, podjął skromnym tonem:

— Wyćwiczony we wszystkich sztukach, celiując w nich, ale cóż, kiedy zatłoczono dostęp do wszelkich karier artystycznych. Straciwszy nadzieję sławy malarskiej, spałem wszystkie obrazy. Wyrzekając się laurów poety, zniszczyłem około stu pięćdziesięciu tysięcy wierszy. Tak zapewniwszy sobie wolność w estetyce, stworzyłem nową gałąź sztuki, opartą na peripatetyzmie Arystotelesa. Nazwałem tę sztukę amfjonją przez pamięć dziwnej władzy, którą miał Amfjon nad orzelami i rozmaitym materiałem do budowy miast.

Ci, którzy będą uprawiali amfjonję, otrzymają miano amfjonów.

Ponieważ nowej sztuce konieczna była nowa muza, a ja byłem sam twórcą tej sztuki i, co za tem, jej muzą, więc poprostu przyłączyłem do gromady Dziewięciu Sióstr moje upostaciowanie kobiece pod imieniem baronowej d'Ormesan. Muszę nadmienić, że jestem nieżonatą, uzupełni-

lem zaś liczbę muz do dziesięciu z tem mniejszymi skrupułami, że szedłem po myśli praw krajowych, przystosowanych do systemu dziesiętnego.

Teraz, kiedy, jak sądzę, jasno wyłożyłem pochodzenie historyczne i mitologiczne źródła amfjonji, chcę ci wytłumaczyć jej treść.

Narzędziem i przedmiotem tej sztuki jest miasto, którego część przebiega się taką drogą, aby wzbudzić w amfjonie, czy laiku uczucie z dziedziny piękna i wzniosłości, jak wzbudza je muzyka, poezja i t. d.

Aby zachować skomponowane utwory i aby można było do nich powrócić, amfjon zaznacza je na planie miasta linią, dokładnie wykreślając drogę. Te kompozycje, te poematy, te symfonie amfjoniczne nazywają się antjopeami przez pamięć Antjopei, matki Amfjona.

Jeśli o mnie idzie, to amfjonję uprawiam w Paryżu.

Oto moja antjopea, którą ułożyłem dziś rano. Zatytułowałem ją „Pro Patria” i przeznaczyłem, jak wskazuje tytuł, na to, aby natchnąć entuzjazmem, uczuciami patriotycznymi.

Wyrusza się z placu Świętego Augustyna, gdzie stoją koszary i posąg Joanny d'Arc. Następnie idzie się ulicą de la Pépinière, ulicą Świętego Łazarza, ulicą de Châteaudun aż do ulicy Lafitte, gdzie pozdrawia się dom Rottschilda. Przez wielkie bulwary zawraca się aż na Plac Magdaleny. Podniosłe uczucia wzbierają na widok Izby Poselskiej. Ministerstwo Marynarki, obok którego wypada przejść, nasuwa chlubną ideę obrony narodowej, i wstępuje się na Pola Elizejskie. Wzruszenie przekracza granice na widok piętrzącej się bryły Arki Zwycięstwa. Przed tunelem Inwalidów oczy zachodzą łzami. Szybko skręca się w aleję Marigny, aby zachować ten entuzjazm, który dosięga szczytu przed Pałacem Elizejskim.

Nie taję przed tobą, że ta antjopea byłaby bardziej liryczna, potężniejsza, gdyby mogła się kończyć przed pałacem króla. Ale cóż? Trzeba brać rzeczy i miasta takie, jakie są.

— Ależ, — powiedziałem ze śmiechem — ja codzień uprawiam amfjonję. Wystarczy przechadzka...

— Panie Jourdin!... — zawołał baron d'Ormesan. — Słusznie mówisz, uprawiasz ją bezwiednie.

* * *

Właśnie z hotelu wyszła gromadka cudzoziemców. Baron, podbiegłszy, przemówił w ich języku, poczem i mnie przywołał.

— Jak widzisz, jestem poliglotą. Ale pójdź z nami. Mam wykonać przed tymi turystami antjopeę zwęzłą, coś w rodzaju amfjonicznego sonetu. Utwory tego gatunku odpowiadają mi najbardziej. Ten zaś nazywa się Lutecja i dzięki pewnym licencjom nie poetyckim, ale amfjonicznym, pozwala mi pokazać cały Paryż w pół godziny.

Weszliśmy, turyści, baron i ja na dach omnibusu, kursującego między placem Magdaleny a Bastylją. Kiedy mijaliśmy Operę, baron obwieścił ją podniesionym głosem. Wskazując na filję Domu Dyskontowego, dorzucił:

— Pałac Luxemburski, Senat.

Przed „Neapolitańczykiem” powiedział emfatycznie:

— Akademia francuska.

Przed Bankiem Kredytowym Lyońskim oznajmił Pałac Elizejski i postępując tak nadal, zanim przybyliśmy do Bastylji, wskazał: nasze główne muzea, Notre-Dame, Panteon, Kościół Magdaleny, wielkie magazyny, ministerstwa, siedziby naszych znakomitości, bądź żywych, bądź zmarłych; słowem wszystko, co powinien cudzoziomec wiedzieć o Paryżu. Zeszliśmy z omnibusu. Turyści szczerze opłacidli barona d'Ormesana. Podziwiałem go i okazałem mu ten podziw. Podziękował skromnie. Wkrótce się rozstaliśmy.

* * *

Po pewnym czasie otrzymałem list datowany z więzienia Fresneńskiego, który nosił podpis barona d'Ormesana:

— Drogi przyjacielu, — pisał mi ten artysta — ułożyłem antjopeę pod tytułem: *Złote runo*. Wykonałem ją we środę wieczorem. Wyruszyłem ze swego mieszkania z Grenelle na statku wiadomościowym. Było to, jak możesz się sam przekonać, mistrzowskie wcielenie baśni o argonautach. Około północy na ulicy Pokoju roztkłukłem parę wystaw jubilerskich. Aresztowano mnie dość brutalnie i zamknięto pod pretekstem, że zawniósłem rozmaitemi wyrobami ze złota, które stanowiły runo, cel mojej antjopei. Sędzia śledczy nie chce słyszeć o amfjonji i jeżeli się nie wstawię za mną, zostanę skazany. Ty wiesz, że jestem wielkim artystą. Spiesz to oświadczyć i uwolnić mnie z więzienia.

Ponieważ nie mogłem na to poradzić, a nie lubię stykać się z organami sprawiedliwości, na list barona d'Ormesana nie odpowiedziałem nawet.

KONIEC

PROGRAM TEATRÓW

WIELKI środa „M-me Butterfly”, czwartek „Tristan i Izolda” piątek „Dziewieczyna Zachodu”, sobota „Dama pikowa”.

NARODOWY We środę i czwartek „Świecznik” Musseta. Od piątku wznowienie komedii W. Sardou „Safandula”.

LETNI Komedja „Podróż p. Perichon”.

POLSKI „Dzieje Grzechu”, Żeromskiego w inscenizacji L. Schillera.

MAŁY „Osiołkowi w żłoby dano”. We wtorek premiera „Kłatwy”.

CWIKLIŃSKIEJ i FERTNERA „Ślubne łoże”, komedja F. Gandery.

NIEWIAROWSKIEJ Operetka „Księżniczka Ilica” z Wiktorją Kawecką.

Im. FREDRY „Wściekły lotnik” wodewil Tauroga.

ODRODZONY — Sztuka „Dzieci skazanego”.

QUI PRO QUO Rewja „A tymczasem pod łóżkiem”.

PERSKIE OKO Rewja „Z ust do ust”.

OLIMPJA Rewja „Precz z rozwodami”. W poniedziałek „Warszawa z Tokio”.

ELDORADO Rewja „Dobrze jest”.

KONSERWATORJUM W czwartek Jan Kubelik.

MIGNON Rewja polityczna „Zagłoba — Dyktatorem” z Słowińskim i Noskowską w głównych rolach.

FILHARMONJA WARSZAWSKA W piątek koncert symfoniczny pod dyr. E. Młynarskiego z udziałem Al. Bronowskiego (fortepian).

APOLLO „Czy powinniśmy milczeć?” z Konradem Veidemileczem.

COLOSSEUM „Złoty Motylek” z Lili Danitą. Następna premiera „Królówie bez korony”.

CORSO „Młyn w Sans-Souci”.

FILHARMONJA „Kurjer carski” z Możuchinem w roli głównej.

MUZA „Lekkomyślna matka” z Glorją Swanson. Ponadto występy R. Szremskiego i duet Iwaszów i Woronczewicz.

PALACE W piątek premiera „Trzech durniów i jedna dziewczyna” z El. Boardman.

PAN „Czerwony błazen” z Heleną Makowską.

SPLENDID „Czerwony Błazen” z Heleną Makowską.

STYLOWY W końcu tygodnia „Złodziej z Bagdadu”.

ŚWIATOWID „Ulubienica Wiednia” z Lya Mara i Harrym Liedtke.

WODEWIL „Kurjer Carski” z Możuchinem w roli głównej.

PROGRAM RADJOWY

ŚRODA, 20.X.1926.

15.00—15.15. Komunikat gośpodarczy.

17.00—17.25. Program dla dzieci.

17.30—18.55. Jazz-band.

19.00—19.25. Odczyt pod tytułem „Państwo polskie w rozwoju” (z działu „Historia Polski”) wvgł. prof. Henryk Mościcki.

19.30—19.45. Komunikat rolniczy.

19.45—19.55. Nad program „Rozmaitości”.

19.55—20.25. Odczyt pod tytułem „Troja, Kreta i Mykeny” z działu „Historia Sztuki”) wvgł. p. Lech Niemojewski.

20.30—22.00. Koncert popularny z udziałem p. Julji Mechówny (śpiew) art. op. warsz., p. Heleny Ostrzyńskiej (akompaniament). Orkiestra P. R.

pod dyr. prof. Jana Dworakowskiego.

CZWARTEK, 21.X.1926.

15.00—15.15. Komunikat gośpodarczy.

17.00—17.25. Odczyt pod tytułem „Jak wypala się cukier z buraków cukrowych” (z działu „Rolnictwo”) wvgł. p. Stanisław Tosio.

17.30—18.55. Koncert popularny.

19.00—19.25. Odczyt pod tytułem „Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej” (z cyklu „Co każdy Polak o swoim kraju wiedzieć powinien”) wvgł. p. Julian Suski.

19.30—19.45. Komunikat rolniczy.

19.55—20.25. II lekcja gry w szachy. Wykładowca prof. St. Kohn.

20.30—22.00. Koncert wie-

czorny. Część I. 1. Moniuszko: Uwertura Bajka—wykona powiększona orkiestra Pol. Radja pod dyr. Józefa Ozimińskiego. 2. R. Strauss: Serenada—wykona na orkiestrze. 3. a) Moniuszko: Melcer: Dumka, b) Statkowski: Do blondynki, c) Sauret: Farsalla—wvk. prof. Wacław Kocharński. Część II. 4. Czajkowski: Suita z baletu „Śpiąca królewna”. 5. a) Cyrvlłskott: Kraj lotosu, b) Granados: Taniec hiszpański—wvk. prof. W. Kocharński. 6. Bethoven: Taniec szkocki—wvk. orkiestra.

PIATEK, 22.X.1926.

15.00—15.15. Komunikat gośpodarczy.

16.45—17.00. Komun. Związku Harcerstwa Polskiego.

17.00—17.55. Program dla dzieci.

18.00—18.55. Koncert popularny.

19.00—19.25. Odczyt p.t. „Polak dyrektorem Akademii Berlińskiej” — Daniel Chodowiecki (1726—1801), z cyklu „Wielkie rocznice” z dz. „Malarstwo”) wvgł. p. Wacław Husarski.

19.30—19.45. Komunikat rolniczy.

19.45—19.55. Nad program „Rozmaitości”.

19.55—20.25. Pogawędka z działu „Wśród książek” (Przebieg najnowsz. wydawnictw) wvgł. p. Henryk Mościcki.

20.30—22.00. Koncert wieczorny. Koncert kameralny. Wykonawcy: prof. Zofja Rabczewiczowa (fort.) i Helena Zboińska-Ruszkowska (śpiew) Część I. 1. Bethoven: Sonata księżycowa—wvk. prof. Rabczewiczowa. Część II. 2. Pieśni odśpiewa p. Zboińska-Rusz-

kowska. 3. Schumann: Karnawał—wvk. prof. Rabczewiczowa.

SOBOTA, 23.X.1926.

15.00—15.15. Komunikat gośpodarczy.

17.00—17.25. Odczyt p. t. „O gangrenie” (z działu Medycyna—hygiena) wvgł. dr. Eugeniusz Lewenstern.

17.30—18.55. Jazz-band.

19.00—19.25. Odczyt pod tytułem „Hutnictwo szkła” wvgł. inż. Eugeniusz Porebski.

19.30—19.45. Komunikat rolniczy.

19.45—19.55. Nad program „Rozmaitości”.

19.55—20.25. Pogawędka z działu „Radiokronika”, wvgł. dr. Marjan Stepowski.

20.30—22.00. Koncert wieczorny. Muzyka lekka.

S P O R T

O sale do treningu zimowego

Jesteśmy świadkami żywego tempa w rozwoju naszego sportu. Niestety, kiedy zbliża się zima, tempo to skazane jest częściowo na zamarcie z powodu braku odpowiednich hal i sal ćwiczebnych. Sportowcy, którzy często z różnych powodów, czy to osobistych, czy też atmosferycznych, nie mogą się poświęcić którejś z zimowych gałęzi sportu, stają bezradnie wobec przykrego faktu: kluby i związki nie dysponują odpowiednimi zimowymi lokalami sportowymi.

Klubów sportowych mamy coraz więcej; z roku na rok wzrasta liczba ćwiczących, a jednak sprawa odpowiedniego dla nich zimowego pomieszczenia nie została do dziś rozwiązana.

Zaledwie 2-3 większe towarzystwa sportowe mają własne sale gimnastyczne, które w zimie używane są do odpowiednich celów, reszta towarzystw z nadejściem sezonu zimowego zaczyna mrówczą pracę w poszukiwaniu zimowego lokalu treningowego.

I tu zaczyna się tragedia, ale nie dlatego, abyśmy w Warszawie nie mieli poddostatkami sal gimnastycznych i lokali nadających się do zimowej zaprawy. Lokali takich jest nawet spora ilość — po państwowych i prywatnych szkołach. Niestety, uzyskaniu ich dla klubów staje na przeszkodzie jakaś dziwna obojętność na sprawy sportu starzego pokolenia dyrektorów

i władz szkolnych, które z jednej strony popierają sport wśród młodzieży szkolnej, z drugiej nie chcą jednak zrozumieć, że to państwowe dobro winno być dostępne pod pewnymi warunkami również i towarzystwom sportowym. Jasną też jest rzeczą, że dopóki temi sprawami nie zajmie się ministerstwo oświaty i nie nakaze udostępnienia zimą gimnastycznych hal szkolnych towarzystwom sportowym, półty ludziom paragrafu martwej litery nie powstanie w głowie, iż coś podobnego przyniosłoby korzyść państwu.

Ale to jeszcze nie!

Gorzej się dzieje, gdy np. towarzystwo, mianujące się sportowem, posiadając wspólny lokal, który byłby wyznaczony Eldoradem sportowym i latem i zimą, wynajmuje go na dancingi i temu podobne intratne interesy handlowe, a za wielkoduszny gest w stronę polskiego sportu uważa się odstąpienie jakiegoś lokalu na zebrania towarzyskie, herbatki, a nawet czasem na odczyty sportowe... Jak na bogate towarzystwo sportowe i jego obowiązki względem narodu to aż nadto mało!

Zdaje się, że przy takim zrozumieniu pracy sportowej nie prędko dojdzie do porozumienia między założycielami i prezesami najstarszych towarzystw sportowych a dzisiejszą, garnącą się do sportu, młodzieżą polską.

Międzynarodowe zawody bokserskie w Warszawie

KID HARRIS ZWYCIĘŻA JUNOSZĘ W 9 RUNDZIE K. O.

Mimo małej stosunkowo reklamy gmach cyrku wypełnił się dosyć dobrze mieszaną publicznością, którą przyciągały nazwiska Ertmańskiego i Junoszy. Pierwszy z nich miał stoczyć walkę z Anglikiem Greenstockiem, drugi odbyć rewanżowe spotkanie z Kid Harrisem, którego ostatnio pokonał już w 2 rundzie przez knock-out.

Walki rozpoczęła waga lekka: murzyn Gibson i warszawianin Ran. Walka ta była tym razem o wiele mniej ciekawa, niż poprzednio. Zbliżska przynajmniej, w przeciwieństwie do walki na Dynasach, którą mogliśmy oglądać z kilkadziesiąt metrów odległości, wyglądała bardzo blade. Obaj zawodnicy wykazali słabą technikę, w czym specjalnie celował Gibson, którego nie można uważać za poważnego boksera, nawet w II kl. B. Zwykliśmy widywać na naszych polskich zawodach o mistrzostwo walki stojące na wyższym poziomie. Ran miał słabe uderzenia; jest w formie gorszej, niż roku ubiegłego. Walkę wygrywa na punkty Gibson. W drugiej parze walczy Nat Brook-Sza-j-dek. Szajdek okazał się bokserem zupełnie słabym, pozbawionym podstawowej techniki. Całkiem słusznie czyni sędzia p. Berski, przerywając walkę w drugim starciu — z przyznaniem zwycięstwa Brookowi.

W spotkaniu trzecim zamiast Ertmańskiego, który miał, jak ostatnio w Poznaniu opowiadano, po walce z Denischem przejść na zawodowca wziąć udział w walce z Greenstockiem, walczy poznania Sypniewski. Greenstock nie umie sobie dać rady z zupełnie nierównym, a jednak silnym zawodnikiem. Z jego początków w ringu można wnosić, że przypisywanie mu tytułu byłego mistrza Anglii jest przez krą pomyłką czy też handlowym interesem. Trudno uwierzyć, że był mistrz Anglii, aż tak dalece zapomniany o podstawowej technice bokserskiej i zachowaniu się na ringu. Sypniewski, przekonawszy się, że nie jest tak źle, jak sądził, przypuszcza silny atak, który od razu oszałamia Anglika. W drugim starciu Sypniewski

mocnymi swingami zupełnie druzgoce wszelki opór Greenstocka, który tylko dzięki częstym zwarciom i opasaniom ratuje się od ostatecznego ciosu. Trzecie spotkanie cechuje znów przewaga Sypniewskiego. Greenstock walczy wbrew wszelkim zasadom walki. Sędzia, mimo upominań, nie może wywrzeć na oszołomionym i zaciętym synu Albionu żadnego wpływu. Boks przetrwuje się w jakąś obrzydliwą walkę grecko-rzymską. Ostatecznie, kiedy Greenstock atakuje w pasji będącej w wypadku Sypniewskiego i zadaje mu wbrew wszelkim przepisom bokserskim kilka uderzeń w twarde deski ringu — sędzia dyskwalifikuje brutalnego boksera.

Po tych trzech mdłych, niesmacznych spotkaniach następuje dziesięciorundowa walka Junosza — Kid Harris. Junosza lekceważy przez pierwsze 2 rundy przeciwnika, którego niedawno zwyciężył przez K. O. Murzyn, który nie miał wielkiej ochoty do walki, zaczyna przypuszczać liczne ataki, które tu i owdzie grzęzną na szczękę Junoszy. W trzecim spotkaniu walka staje się bardziej interesująca. Kid Harris przypuszcza kilka skutecznych ataków, sam doskonale parując lewą wszelkie zakusy Junoszy. Pod koniec tego spotkania Junosza otrzymuje silny cios w szczękę, który go powala na ziemie jednak gong, a z nim koniec trzeciej rundy ratuje sytuację. Zła chwila; każdy, kto się tylko bliżej i na własnej skórze z boksem kiedykolwiek zapoznał, mógł osądzić śmiało, że wygrana jest już przesądzona i Junosza musi ulec. Silne uderzenie zamroczyło na resztę wieczoru naszego pięściarza. W następnych kilku spotkaniach, jakkolwiek tu i owdzie pokazuje Junosza pazury, to jednak jego uderzenia są słabe, a twarde murzynskie szczękę znosi je bez widocznej reakcji. Nie zaslania się również Junosza; ciągle też padają silne lewe swingi Kida, który, widząc już po 3 rundzie, że jest panem sytuacji, stara się za wszelką cenę wykończyć Junoszę. Mamy wrażenie, że walczy tu nie dwaj bokserzy, ale dwie rasy. Silny, dziki i muskularny

czarny mieszkaniec Afryki co raz wyraźniej swą olbrzymią siłą i wytrzymałością fizyczną zaczyna górować nad słabym cywilizowanym Europejczykiem. Widać, że wcześniej, czy później biały musi się słońce na twarde deski ringu...

Siądź — ósma runda. Walczy już nie człowiek, gdyż ten już nie zdaje sobie sprawy, co się z nim dzieje, to walczy jedynie jeszcze nerwy, które każą tu w Warszawie — utrzymać się jak najdłużej ulubieńcowi publiczności. Harris w przeciwieństwie do swego przeciwnika wstaje po każdej przerwie; zdaje się być jakiś świeży i regularnie zaraz z rozpoczęciem walki pakuje silne sierpowe w szczękę, narkotyzując naszego boksera, który tu i owdzie, jak we śnie, zadaje od czasu do czasu podrywane honorem, mniej lub więcej celne, jednak za słabe i bezskuteczne uderzenia. Dzień wiatę spotkanie. Taki sam początek — silny lewy w nieco niżej zupełnie szczękę. Zbliża się początek końca. Rozpaczliwy wysiłek Junoszy rozbił się o twarde szczękę murzyna. Kid przechodzi teraz do silnego ataku całą serią celnych uderzeń, które kończą się powaleniem Junoszy po dziewięciu. Chyba tylko głos sędzi i krzyki mogły tuż na 9. po tyłu silnych uderzeniach, podnieść naszego pięściarza z ziemi, by wpaść zupełnie nieprzytomny pod istny deszcz nowych ciosów, bezwiednie trzymając się liny i dając bezstronnie wykańczać. Jeszcze jedna chwila przytomności, ostatecznie ruch obronne — i oto silny cios czarnego kończy do dziesięciu naszego do ostatniej chwili dzielnego boksera.

Junosza przegrał rewanż. Przegrał do boksera silnego, wytrzymałego, technicznie jednak słabszego. Gdzie leży przyczyna? Niezawodnie przy czyn należy szukać w niewystawianym nierwyszcz dwóch starć, w których nasz bokser serią silnych ciosów powinien był zdemoralizować i tak już na przegrana psychicznie nastawionego przeciwnika. — Walka ta wywarła niezatarte wrażenie na publiczności, z partym oddechem śledzącą przebieg wysoce interesujących zapałów.

K.

Piłka nożna

Mecz półfinałowy o mistrzostwo Polski

Pogoń — Warta 2 : 2 (2 : 1).

Rozegrany we Lwowie 17 października mecz o mistrzostwo Polski Pogoń—Warta zakończył się na remis 2 : 2 (2 : 1). Bramki dla Pogoni zdobyli Bacz i Łysyk, a dla Warty Stałiński i Przybysz. Sędzia p. Rutkowski (Kraków).

Wobec tego drużyny uzyskały po jednym punkcie. Wynik ten jest do pewnego stopnia niespodzianką, gdyż Pogoń na własnym boisku zazwyczaj zwycięża.

Cracovia — Legia 6 : 2 (3 : 1).

W niedzielę na błotnistym boisku w Agrykoli Cracovia pokonała Legię zupełnie zasłużenie w stosunku 6 : 2 (3 : 1). Cracovia, która wystąpiła w swoim najlepszym składzie z Wiśniewskim w bramce i Gintlem w ataku, mimo błotnistej terenu pokazała grę, dawno w stolicy nie widzianą. Technicznie i taktycznie Cracovię należy postawić na czele drużyn polskich. Gra toczyła się z przewagą gości, jednak Legia miała również swoje momenty i naogół grała dobrze; jedynie pod bramką nie miała szczęścia. Bramki dla Cracovii zdobyli Gintel (3), Kuzuza, Nawrot i Kubiński, a dla Legii obie zdobył Łańko. W Cracovii wyróżnili się Wiśniewski, Zastawniak I, Chrościński oraz Sperling. Wogóle drużyna nie miała słabych punktów. W Legii dobrze grali Bednarowicz, Sobolta i Geszewski. Sędzia p. Grabowski.

Lekka atletyka

Nowe rekordy

W Przemyślu (17.X) podczas zawodów lekkoatletycznych Baran (Pogoń) pobił rekord w rzucie kulą oburącz 22.95 (prawą ręką — 12.84).

W Krakowie na zawodach kobiecych padły dwa rekordy: skok wdal — Konopa (A. Z. S.) 481 cm. Rzut oszczepem — Lonka (Crac.) 28.50 mt.

„Dzień sztafet” na boisku Skry

Dnia 17 b. m. na boisku Skry odbył się „Dzień sztafet”, w którym oprócz zawodników Skry wzięli również udział i lekkoatleci Sarmaty. Zawody dały następujące wyniki: sztafeta olimpijska (100×200×300×800) — 1) Sarmata III 4 min. 04.6 sek., 2) Skra, 3) Sarmata I. Sztafeta 5×1000 — 1) Skra I 16 min. 01.6 sek., 2) Sarmata, 3) Skra II. Sztafeta pań 4×500 m. 1) Skra I. 7 min. 18.2 sek., 2) Skra II.

Wioślarstwo

W niedzielę nastąpiło zamknięcie sezonu wioślarskiego i żeglarskiego na przystaniach Wojskowego Klubu Wioślarskiego, gdzie dokonano opuszczenia flagi o godz. 11-ej, oraz na przystani Yacht-Klubu Polski o godz. 16 m. 39. W związku z tym odbyły się w obu klubach regaty żeglarskie, które dały wynik następujący: w regatach W. K. W. o pułkar wędrowny Ligi Morskiej i Rzecznej zwyciężył major Osiniński na „Gidyni” na przystani trzech kilometrów. Major Osiniński zdobywa nagrodę tę po raz drugi. W regatach Yolek zwyciężył (15 mtr.) zwyciężył L. Szwykowski oraz na Yolach 5-cio metrowych p. Niedziałkowski.

Dr. med. Jerzy Finkelkraut

WARSZAWA

ZŁOTA 56a. TEL. 165-71.

POWRÓCIŁ

Chor. kobiece i akuszerka przyjmuje od 4 — 6 pp.

CZYTELNIĄ NOWOCZESNA

ZIELNA 52 (róg Królewskiej)
Telef. 309-66.

Czytelnia jest stale zaopatrywana we wszelkie nowości w polskich i obcych językach w znacznej ilości egzemplarzy. Wypożycza również do domu za niewielką opłatą tygodniki oraz żurnale krajowe i zagraniczne.
Otwarta od 9-ej r. do 7-ej w. bez przerwy

Kursy gimnastyki sportowej

M. KURLETO

rozpoczynają się 3 listopada i odbywać się będą w każdą środę i sobotę od godz. 8—10 wieczór.
Warunki: 15 złotych miesięcznie.
Dla wojskowych i uczącej się młodzieży — 10 Zł.

Informacje i zapisy: Zakł. Gimn. W. Nowackiej,
Warszawa, Sienna 16, parter. Tel. 159-82.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Prosta 17.

Telef. 408-95. Konto czek. w P. K. O. 13.515

Skrót telegr.: EAST Warszawa.

Prenumerata miesięczna (9 numerów, Zł. 3.75. Prenumeratę przyjmuje administracja, wszystkie urzędy pocztowe i pp. listonosze. Wydawnictwa, księgarnie, artyści scen polskich, urzędnicy państwowi, inteligencja zawodowa i młodzież akademicka otrzymuje 20% rabatu przy zgłoszeniach bezpośrednich w administracji.

CENY OGŁOSZEŃ: Cała str. — 400 Zł.,
1/2 — 200 Zł., 1/4 — 100 Zł., 1/8 — 50 Zł.,
1/16 — 20 Zł., 1/30 — 7 Zł., 1/60 — 3 Zł., w tekście 50% drożej. W/miar str. 35×50 cm.
(5 szpalt po 500 mm)

Redaktor Stanisław Lubiński.

Drukarnia Wł. Łazarskiego, Warszawa, Złota 79.

Wydawca: Warszawska Spółka Wydawnicza Orient R. D. Z. East, Warszawa, Prosta 17.